

Szyfry z bieliźnianego sznura

- Pssst! Cicho kumochy rozbisurmanione! Jeszcze nas kto usłyszy i rabanu narobi okropnego na wieś całą! – odezwał się głos męski z prawej.

- Już my jak myszki cichutko tu przy panu siedzimy i ni głosu żadnego nie dajemy – odpowiedział na to głos damski z lewej.

- Kilka słów zawsze zamienić wypada, skoro już się tutaj tak spotkaliśmy zgodnie – wyszeptały czyjeś usta, lekko karminową szminką pociągnięte. – O pogodzie można rzecz wyrazów parę i jeszcze wymienić się przepisem na ciasto kruchutkie z rabarborem kwaskowatym, ech!

- No niech mnie dunder świśnie, baby rozgdakane! Ciągłe tylko ko, ko, ko, jak w kurniku jakim, ciszy się tu nie da uświadczyc! Gęby rozdziawiły szeroko, jakby jakie cuda na kiju oglądały i trajkoczą jako te katarynki krakowskie. No niech wam murarz Józek usta zaraz zamuruje, bo nie wytrzymam ni chwili! – rozsierdził się głos męski z prawej i aż sapnął z wściekłości przeogromnej.

Dwie gaduły tymczasowo zamilkły zgodnie, nieco oburzone jego zrzędlivością nieustającą i wzrok wbiły w gąszcz przed sobą. Wszyscy siedzieli bowiem w chruśniaku malinowym sąsiadki nowej, w gęstwinie zieloności różowymi punktami owoców naznaczonej. No, w krzaczorach siedzieli właściwie, z kolanami przyciśniętymi do ziemi, z plecami pochylonymi nisko, jak najniżej. Podglądali sąsiadkę dziwną, rąbka jej tajemniczy próbując uchylić. Czekali na gest jej jakiś, który im wskazówką będzie, wiedzę jakąś o niej samej przyniesie. Najpilniej przyglądali się sznurowi z praniem tej niewiasty, jakby jej gacie czy biustonosze, czarne lub białe, powieszono tam tego, a nie innego dnia, w tej, a nie innej kolejności, jakiś tajemny szyfr bieliźniany stanowić miały. Przywiodła ich do tego miejsca ciekawość przeogromna i wścibskość wszędobyłska, wiedzieć chcieli wszystko i o wszystkich. Oto bowiem do wsi ich kobieta młoda się sprowadziła, z licem gładkim i kibicią soczystą zacnie, tajemnicza jakaś taka i nieodgadniona. Zamieszkała w starej chacie po świętej pamięci Zenku Piekarczyku, co to zmarł boleściwie lat temu kilka. Zuch to był chłopak, długo by gadać! Krajan to oddany, miłujący tutejsze łąki i pola kraciaste, co to mu były taką małą ojczyzną słodką, sercu najbliższą. To on uratował ich tożsamość tutejszą, bo

przez lata walczył, by wieś ich do pobliskiego miasteczka nie została wcielona bezpowrotnie. A ile się nachodził po urzędach, ile napyskował takim i innym radnym, co to od ziewania za urzędniczym biurkiem chyba pomieszania zmysłów dostali, ho, ho! Gdy już walka na słowa z ciężarkami argumentów pomóc nie mogła, telewizję lokalną ściągnął do wsi ich zagrożonej i przed kamerami wypowiadał zdania nośne: „Ta wioseczka nasza rodzinna, to dla mnie serce Polski jest przecie bijące. Skoro ojce nasze mieszkać tu lat temu wiele uradzili, to wiedzieli, że ich serca bić dla ojczyzny nie mogą w Krakowie, Warszawie czy Poznaniu. Tu one są zamontowane, a ich przeszczepy na inne tereny kraju rzadko się przyjmują. Tu nam zatem mieszkać trzeba, tym naszym swojskim oddychać powietrzem, tu żyć, pracować w pocie oraz znoju codziennym, a potem umierać, dając się pochować na naszym cmentarzyku. Tam sąsiad obok sąsiada karnie się kładzie w ziemi znajomej i nie narzeka ni słowem, bowiem od lat wielu darzy go szacunkiem ogromnym”.

Tak Zenek Piekarczyk przed kamerami gadał, aż się łza w oku niejednym w ludziach zakręciła, gdy go wtedy słuchali, a potem jeszcze dodatkowo w telewizorach oglądali. Wygrał więc z urzędnikami sztywnymi batalię o wiejską wolność i niepodległość, za co sołtys mu potem na spotkaniu w świetlicy miejscowej długo dziękował, rękę ścisnął, całował w policzki bez końca, bukiet kwiatów wręczając przeogromny. I odtąd Zenek Piekarczyk to była we wsi święta krowa taka, a czczona jak rzadko która, nawet patrząc na te indyjskie, hen, daleko! Jak zmarł – piękny pogrzeb mu ludziska we wsi urządziły, na znicze oraz wieńce ze wstążkami długiastymi nie żałując. Gdy potem we wsi obchodzono święta jakieś państwowe czy narodowe, zawsze się ludzie jeszcze dodatkowo przy jego grobie gromadzili, bo to Polak był według nich prawdziwy i szczerzy patriota lokalny. Bez odwiedzin przy miejscu spoczynku jego ostatecznego - żaden 11 listopad, 3 maj czy 1 sierpień, nie byłby w ich oczach dostatecznie uczczony.

Po śmierci dom jego stał niezamieszany, za coś na kształt pomnika pamięci pozując wdzięcznie. Miejscowi przez jakiś czas zastanawiali się czy rodzina jaka, a może też krewni dalsi, nie zgłoszą się po nieruchomość przez zmarłego pozostawioną, ale miesiące mijały i nic się nie działo. Nikt obcy się przy domeczku nie kręcił, nikt nie wypytywał, nikt nieznanomy nie zasięgał języka. Niektórzy z miejscowych, co to większym wścibstwem od innych zawsze się popisywali – zastanawiali się, czy może była żona Piekarczyka po schedę mężowską do wiejskich wrót nie zapuka. Nie zapukała, bo i szansy na to nie miała. W ziemi od dwóch lat leżała bowiem, u św. Piotra polne družki w niebiesiach wydeptując. We wsi tej o tym nie wiedzieli, bo i Zenek Piekarczyk nigdy o tym nie mówił, nie zwierzył się nikomu ze scen pożycia małżeńskiego. Wiejskie ludzie wiedzieli tylko, że jakąś żonę kiedyś miał,

niektórzy ją nawet trochę pamiętali, jej twarz urodziwą i maniery miejskie. A potem on żonę porzucił, wyjechała więc gdzieś ze wsi nieboga, wstydem okryta sromotnym i słuch po niej zaginął. Co się z nią dalej działo? – nikt nie wiedział, choć przez jakiś czas plotki o niej krążyły różne: a to, że niby w ciąży była, a to, że nigdy ponoć z chłopem żadnym się nie związała, bo zawsze w jej sercu ten mąż jedyny pozostał wyrzeźbiony. Ot, taka gadania miejscowych, co to czasami tylko pletli - byle co pleść.

Nowa mieszkanka domu po Piekarczyku – bohaterze, uśmiechała się do sąsiadów wdzięcznie, oj uśmiechała, ale co myślała w główce swojej jasnowłosej, każdy wiedzieć by chciał chętnie. I z sąsiadami w zgodzie żyła, rankiem pozdrawiała ich głosem czystym jak kryształ, a wieczorem żegnała, z nutą wieczornego zamyślenia. Ale więcej nic o sobie powiedzieć nie chciała, nikt przy niej męża ni dziatka nie widział kroczących, więc plotki gorące po wsi poszły, że może ona tu polować będzie na chłopca jakiego majątnego, co to jej złote góry naobiecuje, na traktorze pod płot jej z hukiem wielkim zajedzie i o rękę poprosi.

- Ej, głupia toż ona ci, głupia, jeśli tutaj dziada do ołtarza wyhaczyć planuje! – gdakały baby wiejskie, podśmiewując się w dziewczyny jawnie a złośliwie. – Lepiej by jakiego miastowego gdzieś poznała, bo tu u nas chłopaki są fajne, ale bidne jak szczury kościelne. Sami jeno patrzą, by jaką bogatą sponsorkę poderwać i całe życie nie robić nic cięższego od kiwania palcem w bucie – perorowały, z rękami ciasno na piersiach założonymi, a w domu płakały ich malutkie dziatki i mleko kipiało z garów kuchennych.

- Toć ci niemoralnym, by taka młoda dziewczucha po wsi się naszej panoszyła, chłopów naszych bałamuciła wdziękami babskimi, po naszą własność małżeńską rękę chciwą wyciągając – przepowiadała babina inna. - Jak się dobrze zakręci, to jak raz jeden z drugim pod pierzynę jej wskoczą – tak, że zaraz z brzuchem chodzić będzie olbrzymiastym i kłuć nas nim w oczy pocziwe. Taka dziewczucha to ciepła chłopskiego spragniona, nogi uchylili szeroko a zapraszająco, a ci tylko – hyc, hyc na nią, skoki w górę i w dół z nią wspólnie zrobiją, a za parę miesięcy ta w chusteczkę będzie chlipała, że bękarta urodzi nieślubnego, że tego, że śmego...

- Widzieliście te jej włoski jaśniutkie, pukielki zakręcone, czesane pewnie sto razy grzebieniem w lewą i prawą stronę? – pytała kumoszka inna, niedobór własnych włosów pod chustką kwiecistą ukrywająca. – Kogo ona chce oszukać, nas może, stare wygi? Przecie to pewnik, że perukę jaką przypina do łba głupiego albo może jakieś treski, dopinki na głowie pustej sztukuje. A włosy te jej to nic takiego rewelacyjnego przecie, pewnie je co cztery tygodnie chemicznie farbuje, pieniądze tylko tracąc po próżnicy, miast ucziwe życie prowadzić z tym, co Pan Bóg na głowie nam wyznaczył hodować.

- Dziwne to, ludziska, że żaden chłopina dotąd na jej kibić kształtną nie poleciał w te pędy, bo przecie wizualnie niczego jej nie brakuje i felerami zewnętrznymi w oczy nie bodzie boleśnie – zastanawiał się głośno sołtys Tadzik. – Coś musi być z babskiem tym nie tak, coś musi być nie tak... I dowiedzieć się muszę prawdy, bom przecie pan na tej ziemi naszej, patronuję jej dobrobytowi, strzegę przed zepsuciem, chronię przez niebezpieczeństwami maści przeróżnej.

Tak oto ludziska po wsi gadały, sprawy swoje rodzinne zaniedbując okrutnie. Spokoju im bowiem nie dawała nowa mieszkanka chałupy Zenkowej, tak im w głowach namąciła tym pojawieniem się tutaj swoim niespodziewanym, tyle niepokoju dziwaczного w dusze ich wlała. Zali było czego się z jej strony obawiać? A może ona w gusła wierzyła jakie pradawne, lichy na ich wieś podstępem sprowadzając w zakłęciach tajemnych? A dyć i tak być przecie mogło! Mało to słyszeli o wiedźmach uroki czyniących, które zniemacka całe wsie na tamten świat odesłały w konwulsjach przedśmiertnych, rechocząc przy tym szkaradnie? Może ta dziewczka to diaboliczne nasienie? Może pacierza porannego zaniedbuje i czary voodoo rozsiewa po chałupie, może jakie lalecзки nakłuwa szpilkami, ból na niewinne dusze ludzkie sprowadzając?

I oglądając się ukradkiem, krzyże kreślili na czołach ludziska wystraszone, drżące jak osiki, z przerażeniem w poczciwych oczach. Już i z proboszczem miejscowym się namawiali, by jakie egzorcyzmy nad dziewczką odprawił, a przynajmniej pokropił ją i całe obejście Zenkowego domu wodą święconą, która by one szatańskie Mefistofelesy oraz Belzebuby z granic wsi ich wygnać mogła. Proboszcz na egzorcyzmy zgodzić się żadne nie chciał, za dużo pozwoleń biskupich by na to zdobywać musiał, ale wody święconej dziewczynie hożej nie skąpił, bo też wdzięcznie się ona prezentowała w bluzeczce cieniutkiej z rękawkami krótkimi, gdy ją skropił obficie hojnym gestem kapłana. Zaraz to się zapłoniła, rumiane policzki dostała, a bluzeczka bawełniana wyglądała tak, jakby na miss mokrego podkoszulka dziewczeczka kandydowała. Proboszcz ucieszył się z działania nadzwyczajnego wody swej święconej, gospodyni zaczerwienionej ślicznie pobłogosławił jeszcze z ochotą, a potem wyszedł sprężystym krokiem z domostwa tego, jakby mu z piętnaście lat ubyło. Uśmiechał się do siebie i kiwał głową z aprobatą: jakie to cuda ziemskie Pan Bóg dobry oraz łaskawy do życia powołuje, urody im nie żałując, amen!

Dzień za dniem mijał, już i pół roku przeszło, a wieś nadal niewiele o nowej mieszkance Zenkowej chaty wiedziała. Kilkoro najśmielszych spośród gawiedzi uradziło zatem, że innym sposobem tajemnice z dziewczki onej wydobędzie. I już tylko rozwiązania szukali na jej język krótki a powściągliwy, którym nic wypłacić o sobie nie chciała, choć

podpytywali ją wytrwale: a to w kościelnej kruchcie, a to w sklepie na rogu, koło wierzby płaczącej, a to wprost na drodze, gdy szybkim krokiem przechodziła tamtędy zdyszana. Ona jednak jakby na supeł język zawiązała. Zapytana o życie prywatne, o rodziców czy rodzeństwo – uśmiechała się promiennie, kilka słów nic nie wyjaśniających pytającemu oferowała, kłaniała się nisko i już jej nie było. Trzask prask – znikła, jak poranna mgła. Już i kumoszki w jej łaski wejść próbowały, przyjaciółkami jej chciały zostać tajemnymi a oddanymi, ale ona kontaktów z nimi nie szukała i zwierzać się im najwyraźniej nie zamierzała. Własnymi ścieżkami chadzała, w zasadzie rzadko światu zewnętrznemu postać swą ukazując. Najczęściej siedziała w domu – tak podpatrzyli ludzie wścibskie, bo ni widu jej było we wsi, ni słyhu. Zastanawiali się więc co ona sama, sameńka w czterech ścianach robi, bo to przecie z takiej samotności nic dobrego nie wynika. Tylko głupie myśli jakie przychodzą, co to potem trudno je odpędzić tylko. Chłopy wiejskie to żartowały nawet wulgarnie, że pewnie zabawia się ona tam ze sobą, aż iskry jej idą spod spódnicy rozpalonej, ale to było tylko takie ich chłopskie gadanie. Pogadali, pogadali, pobajdurzyli, wypalili kilka papierosów koślawych i rozchodzili się do swoich chałup, pod pantofel żoniny.

Aż razu jednego sołtys Tadzieniek wpadł na pomysł pokraczny, żeby ją z krzaków malin, tych przy jej domu rosnących, podglądać przez czas jakiś i zwyczaję jej poznać osobiste. A najpilniej polecił sznur z suszącą się bielizną dziewczuchy tajemniczej obserwować. Po tych suszących się na nich fidrygałkach bawełnianych - gotów poznać stan cywilny oraz poczynania seksualne dziewoi. Jak uradził, tak też zrobiono. Tadzieniek pierwszy zgłosił się do misji owej, bo tak mu podpowiadała nie tylko wiejska ciekawość, ale i poczucie odpowiedzialności względem wsi całej. Dosztukował do swojej drużyny obserwacyjnej jeszcze ze dwie kumoszki wścibskie, co to gotowe klęczeć w mokrej ziemi, w malinowych krzakach przyczajone, z podrapanymi rękami i brudnymi od ziemi licami przywiedłymi. Baby nie posiadały się z radości, że im taka robota zaszczytna w udziale przypadła i dziękowały sołtysowi wylewie za okazane zaufanie. On się od ich wdzięczności, pochlebstw oraz komplementów jak od much jakowys obrzydliwych opędzał, ale w głębi ducha spożywał je z namaszczeniem - jakby komunię świętą do serca przyjmował. Szybko obmyślił z babinkami co i jak, plany do etapu realizacji gładko doprowadzając.

I tak czatowali wspólnie, w krzakach malinowych schowani, wiadomości ukrytych w suszącej się na sznurze bieliznie wyglądając. Rozczarowanie okrutne ich jednak szybko dopadło, gdyż rozwiązłości żadnej łopoczącej na wietrze nie ujrzeli. Dziewucha owa raz w tygodniu pranie swych majteczek i staniczków urządzała, na dzień ten sobotę wyznaczając. Szczypczykami klamerek tylko barchanowe, ciepłe majtaski przypinała do linek i biustonosze

pobożne w kształcie, powyciągane jeno nieco ze starości i przyszarzałe. Nie zauważyli nigdy suszenia jakiś stringów plugawych, z dziurką nieprzyzwoitą sprzedawanych, majteczek ażurowych i podejrzenie mięciutkich, fig damskich przezroczyстых tu i ówdzie, tam czy siam czy staniczków kuszących, do grzechu tylko namawiających, spustoszenie w umysłach ludzkich czyniących. Czasami kołysały się na wietrze dwie skarpetki czarne, rozmiar 38, co je dziewczka na nogi swe potem wciskała, bo widzieli jak ganiała w nich z prędkością błyskawicy po sprawunki czy na mszę do kościoła. W niczym im te skarpetki nie podpadły, nic podejrzanego w sobie nie miały, bujały się wraz z wiatrem w przód i w tył, w lewo i prawo, aż wyschły zupełnie i ręka dziewczyny zabierała je ze sobą do wnętrza domu.

„Żeby tak zobaczyć na sznurze gaciory jakie męskie, bokserki wyliniałe na tyłku, przepalone fizjologią facecią w kroku! – marzył w krzakach malin sołtys Tadzinek. – Zaraz by się awanturę z dziewczoją wszczęło jaką, że tylko sodomę i gomorę do wsi przynosi, moralności naszej świętej nie przestrzega, praw odwiecznych nie szanuje! – wzdychał tęsknie. – Cała wieś by ją od razu otoczyła wespół i na spytki wzięła. Już by się ona nam nie wywinęła sianem, oj nie, nie! Gadać jak na spowiedzi by musiała, prawdę by na swój temat wyśpiewała, zataić by niczego nie mogła. Od razu byśmy wszystko o niej wiedzieli i nie musieli po krzakach przesiadywać godzinami, ryzykując złapaniem wilka z zimna oraz reumatyzmu w udach straszliwego. Opowiedziała by się przed nami z życia swego całego, losy wyjawiała. I przed Bogiem przysięgę by złożyć musiała, żeś ci ona panna, co to nigdy wcześniej męża nie miała. Nie będzie nam tu bowiem we wsi mieszkać niecnota jaka, co to rozwódką być może albo w separacjach jakich żyje belzebubicznych. To by tylko na wieś całą sprowadziło gniew Opatrzności straszny, plagi jakieś okrutne, cierpienia ludzi i zwierząt gospodarskich, nędzę piszczącą jak dziecko małe, porzucone.”

Sołtys Tadzinek dobrze we wsi powierzonej swojej opiece gospodarzył, ziomków swoich okolicznych szanował i o zdanie przy podejmowaniu decyzji pytał, ale i wadę miał nieprzyjemną. Choć gospodarskich podopiecznych ruszyć nie dał, złego słowa o nich nie powiedział, to obcych bał się okrutnie, nie wiedząc co z ich ręki spotkać go może. Podobne jak on odczucia i pozostali mieszkańcy wsi mieli, wrogo przyjmując wszelką odmienność oraz różne zwyczaje. Uczuciem wielkim darzyli raczej tylko swoją małą ojczyznę, ziemię własną i sąsiada bliskiego, na inne krainy ojczyźniane spoglądając z trwogą. Kulturę swoją z dziada pradziada przekazywaną, z pokolenia na pokolenie wędrującą, hołubili i wielbili, cudzej kultury nieciekawili raczej i często jej niechętni. Drżeli przed nowinkami miastowymi, przed wynalazkami cywilizacyjnymi, które by ich z tej symbiozy z małą ojczyzną wyswobodziły, choć nie stronili przecie od komputerów, internetów, telefonów komórkowych

i nowiułkich samochodów wielkości przeciętnej stodoły. Tworzyli hermetyczne środowisko swojaków, kisili się we własnej zupie autorskich przekonań i prawd. Wydawało się im, że bezpieczni są tylko tu, między sobą, a tam gdzieś, het, za ostatnią miedzą, rozpościera się groźna Kraina Inności. Kto tylko podejdzie zbyt blisko pod granice wsi ich rodzinnej, ten życiem ryzykuje, bowiem kraina odmienna wyssać ich może z rodzimej ziemi i przymusić do zamieszkania na ichnim terenie. A co tam ich czeka? „Toż to już lepsza śmierć byłaby jaka, nawet w bólu straszliwym i cierpieniu niewyobrażalnym, od mieszkania gdzieś daleko” - tak gadali ludziska, jak im ten temat kto zaproponował, choć niechętnie i z wyraźnym ociąganiem wypowiadali słowa opiniami będące.

Dziewucha samowystarczalna, co to z wsią całą integrować się nie chciała, solą im w oku była, agresję w nich wyzwalając dziwną taką. Bo i obca wciąż była, choć żyła czas już jakiś pośród nich, oddychała tym samym powietrzem, kupowała jedzenie święte w tym samym sklepie i chodziła do tego samego kościoła. Jak ją mieli przyjąć jako jedną z nich, skoro nie żyła identycznie jak oni: rodziny żadnej nie założyła, tak to chyba ufoludki tylko marsjańskie jakie czynią! Łono jej puste pozostawało, z brzuchem wzdętym stanem błogosławionym dziewięć miesięcy nie chodziła, dzieciaka przy piersi żadnego nie trzymała. Co z niej za kobieta, czy to jeszcze baba jest prawdziwa taka? Przecie to nie od dziś wiadomo, że baba bez macierzyństwa w obłąd popada skrajny, z szatanem w ekstazie łączy swe członki, od ludzi coraz bardziej stroni, demony na wieś całą sprowadza bezustannie. Taką to lepiej od razu ze wsi przepędzić, wychłostać przykładnie dla wyabstrahowania z niej diabła jakiego, a modlić się przy tym głośno, a zawodzić okrutnie, zdrowaškami się okładając dla bezpieczeństwa osiągnięcia zbawienia swej duszkiej ułomnej.

Krzaki malin naprzeciwko Zenkowego domu wciąż dodatkowo, obserwujące oczy miały, a właściciele owych oczu w zasadzie już zwątpili w powodzenie swej akacji. Aż tu nagle jednego dnia na sznurze pełnym suszącej się bielizny, dziwaczne jakieś majtki obaczyli. Mniejsze były od tych barchanów przasných dziewoi tajemniczej, jakimiś obrazkami miniaturowymi wymalowane. Jakie jednak? Z daleka dojrzeć nie mogli. Umówili się zatem, że jedna z obserwatorek podejdzie cichutko pod sznur na wietrze powiewający i zobaczy jaki to na majtasach onych wzorek jest namalowany. Podbiegła jedna baba na paluszkach do majteczek i stworki jakieś na nich zobaczyła. Podrapała się w głowę tylko, zafrasowała, a potem powróciła do swych towarzyszy wścibstwa, stacjonujących w malinach.

- To Myszka Miki – odpowiedziała szybko, robiąc wielkie, zdziwione oczy.

- Jaka myszka, kumoszko, coś ci się w głowie pomieszało! – rozzłościł się sołtys Tadzinek, pukając się przy tym znacząco w głowę.

- Aleć ja wiem co mówię! – oburzyła się baba, ciut już zirytowana niewiedzą sołtysa. – To dziecięce gacie z Myszką Miki, postacią z bajki takiej dobranockowej! Dziaćki to moje oglądały, jak małe były.

Tadzinek rozpromienił się szybko na te słowa zrozumiałe dla utrudzonej jego głowy i pokiwał nią uczenie:

- Tak, tak, toż my tu przecie złego słowa o sąsiadce nie mówimy! Teraz tylko pomysłuńek czeka nas taki: skoro gacie są dziecięce, to gdzie jest dziecko? – sołtys zawiesił znacząco głos swój pytający, spoglądając w twarze dwóch kobiet. – Ta nasza dziewucha przecie po wsi sama chodzi zawsze, żaden bachor do spódnicy jej się nie czepia. Możeć więc ona w tej chałupie swojej nieślubne dziecko jakie ukrywa pokątnie? Grzech to byłby śmiertelny przecie! Tak nam nic nie powiedzieć, nie zwierzyć się ze zmartwienia swego, nie szukać wśród poczciwych ludzi wiejskich porady i pociechy jakowejś! Oj, oj, nieładnie!

Odtąd wywiad Tadzikowy polował na mityczną postać dziecka. Czatował przy chałupie Zenkowej dzień i noc, byle co zobaczyć, byle co podpatrzeć. Krzaki malin pod domem tajemniczej dziewuchy wyraźnie ożyły, zasilane ciekawością szaloną. Wciąż się ruszały, dyskutowały, szeptały, kłóciły się, spierały i jednały, byle tylko dowiedzieć się wreszcie czegoś konkretnego o sytuacji onej. A gdy już mieszkańcy krzaków (bo wiejska trójka wywiadowcza nieomal w nich regularnie mieszkała) wiarę w powodzenie swojej misji do cna stracili, razu jednego przed domem Zenkowym dziewczuszkę jakowąś mizerną zobaczyli. Już ci ona była licha, że aż strach serce ścisnął. Drobną niezdrowo, bledziutką oraz chudziutką, powykręcana na całym ciele okrutnie jakoś. I na wózku inwalidzkim jeszcze siedziała, ni śmiejąc się, ni płacząc. No, litości ludziska, taka ona smutna była, a w odrętwieniu takim katatonicznym. Dziewucha z Piekarczykowego domu wciąż przy niej jeno skakała, a to soczku jakiego dawała, a to jedzenie w papce zaoferowała, zabawki pokazywała kolorowe a skaczące i śpiewające, cuda takie wyprawiające. A ta mała nic, jeno siedziała tylko. I trwała tak w tym stuporze zaciętym, w tym bezruchu, tak do dziecięcego zachowania niepodobnym.

Zrozumieli wnet podglądacze do kogo należały majteczki miniaturowe z Myszką Miki bajkową. I wstyd im się jakoś zrobiło i markotno jakoś. Toż to chore dziecko, a czego innego się przecie spodziewali, sensacji czy dewiacji seksualnych, jakiegoś skandalu wielkiego wiejskiego. Pożałowali małej, co to taka sztywna w swym wózku na kółkach statycznie trwała tyle godzin i pomóc jej jakoś postanowili. Sołtys Tadzinek w zмовie z resztą wsi na tajne zebranie do świetlicy się udał i oto co tam uradził z innymi wespół: kobietę z dzieckiem okaleczonym chorobą ratować trzeba – od samotności, od wykluczenia, od

smutku wielkiego a nieuniknionego, co to ranka każdego na doświadczonego życiowo człowieka spada i w kajdany pesymizmu go zakuwa. Obmyślili ludziska wiejskie, że zabawę wesolutką dla dzieci w świetlicy urządzą i mieszkanki Zenkowego domu na nią zaproszą. Poczęstują małą, maleńką watą cukrową na patyku, baloniki do rączek krzywieńkich wetkną kolorowe, to może się otworzy nieco i uśmiechnie ździebko do życia wkoło.

Jak postanowili - tak też zrobili: w najbliższą sobotę impreza była u nich w świetlicy ludowa, śmichy, chichy głośne i trele - morele. A po duszyczkę, bidulkę jedną na wózku oraz dziewczynę tajemniczą - iść miał proboszcz miejscowy, jako siła perswazji przeogromna oraz autorytet lokalny. Długo on z domu Zenkowego nie wychodził, już ludziska wiejskie myślały, że nic u dumnej nieznajomej nie wskóra, a tu ich niespodzianka czekała. Ksiądz proboszcz wyszedł w końcu dostojnym krokiem z mrocznych wnętrz domostwa i cudu dokonał. Prowadził oto ostrożnie wózek z kruszynką skamieniałą, a za nimi dziewczyna załęknioma wędrowała, ze wzrokiem w ziemię wbitym, spłoszona wyraźnie. Ludziska przed tym niecodziennym pochodem z drogi ustępowali, szemrali jeno tylko coś między sobą i łokciami się tręcali znacząco. A gdy wszyscy znaleźli się wewnątrz świetlicy kolorowej, przystrojonej wycinanymi z papieru ozdobami i kwiatami polnymi, cisza jakaś przejmująca zapadła. Nawet dzieci rozdokazywane umilkły znieca, popatrując tylko olbrzymimi oczyma na dziewczynkę nieruchomą, na jej twarz martwą i ciało powykręcane.

Proboszcz - jako najbardziej z nich nawykły do wystąpień publicznych oraz przemawiania oficjalnego, w te odezwał się słowa:

- Parafianie moi mili, owieczki pod opieką moją niegodną będące! Odwiedziłem ja dziś parafiankę naszą młodą, co to tyle czasu na uboczu wsi żyła, bólu doświadczając oraz samotności ponurej... – tu proboszcz powiódł wzrokiem srogim po tłumie zebranych. poczekał aż ci najbardziej nawet hardzi – wzrok opuszczają, do winy się poczuwając. – Ja sam także nie mam czystego sumienia, nie zorientowałem się w porę, że pomoc mogę bliźniemu oraz wesprzeć ofiarnie – tu proboszcz uderzył się mocno w piersi, aż zadudniło. – Przyjąć ją życzliwie do kręgu naszej małej ojczyzny musicie, ugościć paradnie, przytulić do serca mocno, pocieszyć. Bo też i ta nasza nowa parafianka to córka jest naszego bohatera wiejskiego wielkiego, Zenka Piekarczyka! – ostatnie słowa proboszcz prawie wykrzyknął, aż dreszcze przebiegły po plecach parafian zasłuchanych.

Szmer się podniósł w kątach świetlicy, ludzie gały na wierzch wybałuszyli, histerycznie się dziwując: toż to sensacja była niemała! Zenek Piekarczyk miał córkę?! A zatem nie z niczego się wzięły owe plotki, że nim żonę z chałupy wygnał, dzieciaka jej zmagstrował. Potem zaś puścił z torbami, zostawił podle z brzuchem i jako bohater wiejski do

końca swych dni urzędował. To się ludziom w głowach nie mieściło, taka tajemnica mroczna bohatera ich ludowego! A oni tak go poważali, tak szanowali, pilnie słuchali głosu jego, choć on drugą twarz ukrywał głęboko! Skurczybyk jeden, tak ich wykiwał strasznie, tak oszukał, żerując na ich uczuciu wdzięczności najszczerzej! Bolała ich duma wiejska, oj bolała! Ale to nie koniec był tych rewelacji proboszczowych. Jeszcze inne miał w zanadru.

- Ta oto córka Zenkowa – tu wskazał na stojącą w ogniu zawstydzienia dziewczynę – nigdy więc ojca nie poznała, bo matka zdradzić jej nie chciała, kogo tym niegodnym dlań mianem nazywać powinna. Wiedziała bowiem była Zenkowa żona - jakim on poważaniem się cieszył we wsi naszej. Wizerunku więc jego publicznego burzyć nie chciała. Dopiero przed śmiercią prawdę córce wyjawiała, by spokoju duszy w wiecznej szczęśliwości zaznać. Za późno już jednak było, za późno! Ojciec nie żył już od lat kilku i córka szansy na spotkanie z nim nie miała. Przynajmniej nie na tym świecie, na tym łez padole. Pomyślała jednak dziewczyna, że skoro taka fama chodzi, że on taki dobry był, taki szanowany, także i ona co dobrego uczynić by mogła. Adoptowała więc z domu dziecka chorą dziewczynkę, bidulkę taką, co to nikt inny jej kąta własnego zaoferować nie raczył. I przyjechały do wsi naszej, a my tu zamiast podjąć je chlebem i solą, krzywdy wyrządzone przez ojca niecnotę naprawić, tylko patrzyliśmy na nie z założonymi rękami, ni ciepłym słowem sierot nie otulając.

Nie ma co mówić, ludziska wiejskie zawstydziła ta proboszczowa przemowa, ale także do refleksji pewnych przywiodła: oto choć bohater Zenek wieś ich przed zatraceniem zupełnym uratował, nie potrafił uratować jednak związku ze swoją córką, gdy rozpadło się z jego winy małżeństwo. Zapomniał o niej, jak o gazecie wczorajszej, w kącie odłożonej. Nie był ci on taki święty, za jakiego uchodził. Ale ta Zenkowa córka na zgorzkniałą mścicielkę nie wyrosła, pomsty nad swoją krzywdą we wsi nie szukała, tylko jeszcze wspomóc chciała dziewczynkę bolejącą, co to szansy na własną rodzinę nie miała. Toż to teraz ich sąsiadka, kumoszka najbliższa - w tej ich małej ojczyźnie wiejskiej mieszkająca. Nie po krwi im ona bliska, ale po ziemi miejscowej a drogiej.

Odtąd jako swoją ją przyjęli, ową Zenkową dziewczynę odważną i jej córeczkę przyszywaną. I to one na nowe bohaterki wsi wyrosły, ludziska poznali je bliżej i polubili ogromnie. Krajanki to ich przecie były, swojskie one. Zastygła dotąd w martwocie twarzyczka dziewczynki na wózku przybrała zaś jakiś nowy wyraz: nie smutek na niej był, ale wewnętrzna radość, co jak światło przebijała przez dziecięcą skórę. Promyczki jej jasne barwiły lico dziecięcia rumieńcem szczęścia. Pośród grudek tej ziemi odnalazła bezcenny skarb miłości, w którym uczucie matki kochającej - stopione było z życzliwą akceptacją lokalnej społeczności. Szyfry z bieliznianego sznura zostały prawidłowo odkodowane.